

Samí sobie winni

15 października 2016

Aleksander nie powie nic, nawet gdyby chciał. Zrozumiałem to, ledwie przekroczyłem próg domu i wziąłem pierwszy haust ciężkiego odoru dwuizbowego pomieszczenia. Nie zwrócił na mnie uwagi. Wziął tylko ze stołu dyktafon i nawet to, że mu go siłą odebrałem, nie wywołało żadnego mną zainteresowania. Nie skojarzył ręki, która mu zabrała błyskotkę, z człowiekiem, do którego jest przyrośnięta. Potem porzucił nagle dyktafon, by wieszać i zdejmować kurtkę z wieszaka. Raz za razem, raz za razem, monotonnie, jak automat. Czasem wył. Kaszłał. Z półotwartych ust ciekła mu ślina, której nikt nie wycierał.

ZŁA CIAŻA

Upośledzony umysłowo w stopniu znacznym. Jego inteligencja ma, według badań, 4 lata i 9 miesięcy. Więcej mieć nigdy nie będzie. Aleksander ma 17 lat.

Anna i Stanisław poznali się tam, gdzie pracowali jako nauczyciele. W szkole podstawowej we wsi P. koło N. Godzina drogi od Warszawy. On lat 34, po pedagogice uczył polskiego. Ona, 28 lat, uczyła matematyki. Skończyła ekonomię na Uniwersytecie Warszawskim. Oboje mieli umowę tylko na 12 miesięcy, to był rok 1990 i już było wiadomo, że bezrobocie będzie wysokie. W październiku Anna stwierdziła, że jest w ciąży. W grudniu pojawiły się pierwsze bóle i komplikacje. Ginekolog w Pułtusku nie miał wątpliwości – usunąć. Jeśli nawet Anna donosi ciążę, to jest wysokie ryzyko, że dziecko urodzi się z licznymi chorobami.

Anna wyrosła w rodzinie katolickiej, sama też była głęboko wierząca. Ale nie tylko to miało wpływ na jej decyzję. Mało kto dzisiaj pamięta temperaturę tamtych lat, gdy Kościół i przykościelni politycy żądali całkowitego zakazu aborcji. Przejrzałem zszywkę "Gazety Wyborczej" z lat 1990-1991. W

ówczesnych publikacjach widać wyraźnie, jak szybko Kościół zachłysnął się własną potęgą. 31 grudnia 1991 r. w liście pasterskim biskupi zakreślają granice dialogu: Bo jeśli wolno zabić poczętą istotę ludzką tylko dlatego, że w diagnozie prenatalnej stwierdzono u niej jakąś wadę wrodzoną, albo dlatego, że jest ona następnym biednym dzieckiem w rodzinie pijackiej? Znaczy to, że fundamentem sensu życia każdego z nas nie jest już samo człowieczeństwo, ale coś znacznie mniej podstawowego. Nadgorliwi wobec hierarchów lekarze projektowali, by zakaz wykonywania aborcji wpisać do kodeksu lekarskiego, a słowa "morderstwo" i "zabójcy" były używane tak łatwo jak widelce w knajpie. Krzyżowały się z obietnicami, że nawet dzieci chore i kalekie znajdą pomoc w instytucjach kościelnych lub państwowych. W takiej atmosferze zapadła decyzja Anny, by ciążę donosić.

NA GŁODZIE

Oluś urodził się w lipcu 1991 r. Z lekarskiego dokumentu: „Urodził się z zespołem wad rozwojowych. (...) upośledzenie umysłowe, (...) rozszczep wargi górnej po prawej stronie z rozszczepem podniebienia twardego, (...) niedosłuch obustronny. A w innym: niezdolny do samodzielnej egzystencji. Do tego doszło wnetrostwo, czyli brak jąder w mosznie, leczone operacyjnie.”

To był początek. W szpitalu matce zalecono, by dziecko było karmione piersią. Ze zdeformowanymi wargą i podniebieniem nie było w stanie uchwycić sutka. W ciągu trzech miesięcy Aleksander niemal skonał z głodu. Miejskowa pediatra w N. nie zauważyła problemu, a utratę wagi noworodka zlekceważyła. Gdy rodzice szukali pomocy u lekarzy, właściwą znaleźli dopiero w Instytucie Matki i Dziecka. Tam ktoś wpadł na pomysł, że dziecku trzeba zrobić wkładkę podniebienną. Zrobiono, ale niedopasowaną, pokarm zatem nadal nie był właściwie przyswajany. Dziecko nabawiło się ostrych biegunek, odwodniło, a w rezultacie znów jego życie zawisło na włosku.

Ciągła walka o życie upośledzonego dziecka spowodowała, że Anna zrezygnowała z pracy – Aleksander wymagał całodobowej opieki. Stanisławowi szkoła nie przedłużyła umowy. Po roku bezrobocia znalazł zatrudnienie w szkole w Łomiankach. Walcząc o podniesienie swoich kwalifikacji, zaocznie skończył polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim. To kosztuje, tak jak kosztują wizyty u kolejnych lekarzy. Nie stać ich było nawet na wynajęcie mieszkania. Kątem pomieszkiwali u rodziców Anny.

PŁACZ I KRZYK

Wskutek ciągłych pobyków w szpitalach Aleksander miał objawy choroby sierocej. W trakcie którejś wizyty badanie krwi wykazało wirusa żółtaczki typu B. Przez obojętność Izby Lekarskiej, do której rodzice się zwrócili, by pomogła im znaleźć winnych, nie udało im się dostać odszkodowania. Co roku trzeba z Aleksandrem jeździć na komisję lekarską, by orzekła niepełnosprawność, a tu lewicowy rząd Millera odebrał zniżki na przejazdy dla niepełnosprawnych.

Dwa lata temu pojawiły się dwie nowe choroby: nerwica natręctw i wypadanie odbytu podczas oddawania stolca. Jakies 6 centymetrów. Trzeba to włożyć z powrotem palcami. Dolegliwość leczono najpierw w szpitalu na ul. Działdowskiej w Warszawie, ostrzykując okolice odbytu jakimś specyfikiem. Potem kurację przerwano, bo był remont oddziału. Kiedy się skończy? Tego w szpitalu nikt nie wiedział. Rodzice dotarli do Centrum Zdrowia Dziecka, gdzie tamtejsi lekarze zaproponowali zabieg chirurgiczny, zaś metodę leczenia kolegów z Działdowskiej ocenili jako szkodliwą.

Natręctwa leczone są specyfikami powodującymi silny ślinotok. Pozostałością licznych antybiotykoterapii są nasilające się bóle stawów. Są dni, gdy Aleksander cały dzień płacze i krzyczy. Od rana nie potrafi samodzielnie oddać moczu. Stymulowanie go do tego zajmuje godziny. Śniadanie kończy jeść około 13.00, bo szybciej nie potrafi albo nie chce. Nie umie się samodzielnie ubrać. Nie jest w stanie wyjść z domu ani w

stopniu zadowalającym porozumiewać się z otoczeniem.

ICH TROJE

Stanisław przeszedł na wcześniejszą emeryturę, Anna szukała jakiegokolwiek pracy. – Pani ma przecież ciężko chore dziecko, będą częste zwolnienia – mówili pracodawcy z N. i odsyłali z kwitkiem. Nie dostała nawet posady sekretarki w szkole.

Stanisław wreszcie uciekł w alkohol, dzień po dniu staczając się w menelstwo. Anna wystąpiła o rozwód. Niedawno udało mu się przestać pić. Znowu mieszkają razem. Tym razem w pomieszczeniu w starej kamienicy bez podstawowych wygod.

Starają się o większe mieszkanie komunalne. Rodzina Anny, jak pamiętamy, to gorliwi katolicy, aktywni członkowie miejscowej parafii. Gdy prosili księdza o wstawiennictwo u wójta, odpowiedział, że byłaby to presja na niezależną władzę.

Rodzina się odwróciła, nikt ich nie odwiedza, nie pozwala swoim dzieciom kontaktować się z Aleksandrem. Odcięci od ludzi i świata, czepiają się życia jak potrafią. Tylko że nie potrafią.

Przedemną siedzi dwoje ludzi, którzy upodobnili się do syna. Nie są byłymi nauczycielami z wyższym wykształceniem. Są istotami zredukowanymi do najprostszych reakcji. Matka, głęboko znerwicowana, podczas rozmowy układa palce obu dłoni na kształt szponów, zaczepia jedno o drugie, przez moment siłując się sama ze sobą, i nagle puszcza uchwyt, by za sekundę zrobić to samo. Nie przerwała tego ruchu ani przez chwilę podczas naszej rozmowy. Ale tylko gdy siedziała (w drugim pokoju Aleksander monotonnie jęczał), bo kiedy wstała, by podejść do kuchenki na końcu kishkowatej kłitki, oparta o ścianę na ułamek sekundy zginała oba kolana, by raptownie je wyprostować. Drgała tak bezwiednie. Odpowiadała pojedynczymi słowami, czasem tylko układając je w zdania.

Zapytałem, czy są takie dni, że żałuje, iż nie przerwała wtedy

cięży. Akurat podniosła pokrywkę garnka i przez buchającą parę – patrząc nie na mnie, lecz w ścianę – odpowiedziała, że żałuje prawie codziennie. Codziennie.

Stanisław splata dłonie, chowa je pomiędzy uda, cały zgarbiony i patrzy w ziemię.

NA TAMTEN ŚWIAT

Na półce przede mną grzbiety przewodników po egzotycznych krajach: Francja, RPA, Hiszpania, Włochy... To jedyne kolorowe miejsce w tym domu.

Stanisław dorabia w domu opieki społecznej. Z jego listu do mnie: „Widywałem sytuacje, gdy z braku personelu sprawniejsi pensjonariusze opiekowali się tymi mniej sprawnymi. (...) W pewnej chwili zobaczyłem, jak koleżanka pudruje okolice jego (pacjenta) odbytu. Miejsce to wyglądało jak soczysty płat mięsa potraktowanego tłuczkiem do kotletów. To konsekwencja częstych gwałtów dokonywanych przez silniejszych i sprawniejszych pacjentów. (...) Pomyślałem, że gdyby nas zabrakło, a nasz syn trafiłby do tego typu ośrodka – może spotkałby go równie podobny los. Wolałbym chyba zabrać go ze sobą na tamten świat.”

Autorstwo: Maciej Wiśniowski

Źródło: Nie.com.pl